

Monika
Piątkowska
NIKCZEMNE
HISTORIE

Wydawnictwo
ab

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

NIK CZEMNE
HISTORIE



Monika
Piątkowska
NIKCZEMNE
HISTORIE

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Bezimienna

Posłuchaj tego: jest 17 sierpnia 1901 roku, Kraków dusi się w upale, kto może, ucieka z miasta na wieś, a w kamienicy numer trzynaście przy ulicy Sławkowskiej dochodzi do buntu. Dzień wcześniej fragment elewacji, jakiś element balkonu czy gzymsu, oberwał się i o mały włos nie zabił jednego z lokatorów. To zdarzenie oburza wszystkich, ponieważ od miesiący sugerowali właścicielowi, że dom wymaga remontu, a gdy na dodatek okazuje się, że kamienicznik nie chce osobiście obejrzeć szkody, wybucha prawdziwa rewolucja – po dwóch rozgorączkowanych godzinach lokatorzy postanawiają nie płacić czynszu, dopóki budynek nie zostanie naprawiony, i wysyłają ultimatum do właściciela. Ten zjawia się następnego dnia, staje naprzeciw tłumowi, nie po to jednak, by słuchać skarg. Mówi (zapewne słusznie), że lokatorzy sami są sobie winni, bo poza dwoma rodzinami nikt nie

płaci czynszu na czas, że ci z trzeciego piętra nielegalnie podnajmują pokoje, studenci z parteru dewastują klatkę schodową, a dzieciaki z sutereny wybijają szyby w bramie. Ma ze sobą jakiś kajet, gdzie przevinny mieszkańców są zapisane, a precyzja informacji – wszystkie te daty, nazwiska, sumy – sugeruje, że kamienicznik trzyma w budynku informatora. Wtedy temperatura spotkania nieco opada, sąsiedzi patrzą po sobie, nikt się nie spodziewał takiej wolty, a gdy cisza staje się aż gęsta, kamienicznik dorzuca, i w zdaniu tym pobrzmiewa groźba, że dwupokojowy lokal na parterze stał wolny raptem miesiąc; wynajął go już, i to za sumę dwukrotnie wyższą od poprzedniej, a nowy lokator wprowadzi się lada dzień.

I tak się dzieje: Augusta Beilin, która rankiem 21 sierpnia 1901 roku sprowadza się do kamienicy, oczywiście nie wie, jakie wrażenie robi swoim przybyciem, nie przychodzi jej do głowy, że gra w przedstawieniu, i to rolę czarnego charakteru, że jest dla sąsiadów swoistym memento. Jej świat to brama, kosze z porcelanową zastawą, meble wyładowane na trotuar, tragarze, nierówne kafle na podłodze korytarza i nadciągająca nad miasto burza. Zabawna jest ludzka pamięć; kiedy dziesięć lat później (już po morderstwie) policjanci próbowali ustalić, co tego pierwszego dnia Augusta Beilin mówiła i w jakim była nastroju, nikt nie dał satysfakcjonującej odpowiedzi, natomiast wszyscy, którzy jej przybycie widzieli, zapamiętali

kapę na łóżko (zieloną w róże, przesytą srebrną nitką), ciemne mięsiste obrusy, lustro do jadalni (duże, w złotej ramie, drogie), wreszcie intrygujące porcelanowe bibeloty, te kotki, amorki, pastereczki i dużą alabastrową figurkę kobiety z dzieckiem, która stała potem w przedpokoju i którą Augusta Beilin bezczęściła, wieszając na niej swoje wdowie czepki. Ciekawe, prawda?

W dniu przeprowadzki Augusta Beilin ma pięćdziesiąt dziewięć lat, nosi czarną suknię, spod której widać schodzone trzewiki, jej włosy okrywa czepki, ale krzepka figura i energiczne ruchy sugerują, że nie ciuła jeszcze pieniędzy na grobowiec. Przeciwnie: pokrzykuje na tragarzy, na okoliczne dzieciaki, w jednej chwili jest na ulicy i w mieszkaniu; nie sposób wprost wyobrazić sobie bardziej energicznej kobiety, a jednak tamtego dnia w świadomości sąsiadów powstaje obraz skromnej wdowy, kogoś, kogo łatwo można polubić i łatwo zapomnieć – nieszczęśnicy, którą kamienicznik oszukał wysokim czynszem, biednej staruszki.

Potem jednak sprawy się komplikują. Jakiś miesiąc później Augusta Beilin odmawia podpisania petycji do właściciela w sprawie remontu dachu, a sąsiadowi, który przyszedł z tą prośbą, oświadcza, że nie zamierza mieszać się w żadne spory, zwłaszcza dotyczące dachu, gdy sama mieszka na parterze. Następnego roku, wiosną, wywołuje już prawdziwy skandal: oskarża robotnika mieszkającego w suterenie, że ukradł kapę,

którą wietrzyła w kuchennym oknie, i nie słucha sąsiadów, gdy ręcą za uczciwość robotnika. Nieszczęsny człowiek spędza godziny w policyjnym areszcie, a gdy okazuje się, że kapę ukradła banda złodziei, grasująca tego dnia i na sąsiednich podwórkach, Augusta Beilin cały gniew przelewa na stróża – uznawszy, że nie dopełnił obowiązków, nakazuje mu, by zwrócił kosztą narzuty.

Wtedy to opinia o niej ugruntowuje się na dobre: odtąd nazywana jest skąpą, wyniosłą, odpychającą, staje się też tematem plotek i obiektem sąsiedzkiej obserwacji. Rozprawia się i o tym, że nie trzyma służącej, i o tym, że nigdzie nie bywa i nikt jej nie odwiedza; kiedy okazuje się, że jej mąż był pułkownikiem i zmarł na atak serca, ten i ów żartuje, że Augusta Beilin jest gorsza niż wojna. Omówione zostaje także jej nagłe pojawienie się w kamienicy: sąsiadów zastanawia, dlaczego po śmierci pułkownika Augusta porzuciła dawne życie (i mieszkanie w Rzeszowie), by przenieść się do obcego jej Krakowa. Dlaczego wybrała miasto, w którym nikt jej nie zna, czyżby od kogoś lub czegoś uciekła? Wreszcie Augusta Beilin staje się tak nielubiana, że nawet w większym gronie nazywa się ją staruchą, a dzieci z okolicy, gdy idzie na targ, krzyczą za nią „wiedźma!”

Paradoks: to właśnie dzieciaki, których tak nie lubiła, zaalarmowały świat o jej krzywdzie. Oto mija dziesięć lat, jest 12 maja 1911 roku, a na drzwiach

wejściowych mieszkania Augusty Beilin pojawia się nieduża kartka z napisem „Wyjechałam na kilka dni”. Nie da się jej zerwać, bo kartkę umieszczono od wewnętrznej strony, wciskając między szklaną tafelę, coś w rodzaju okna w drzwiach, a sztywne płótno, które Augusta zawiesiła przeciw światu i ciekawskim. Córki dozorczyń, które pierwsze dostrzegają kartkę, są zaintrygowane: w kamienicy nikt nie zna charakteru pisma Augusty Beilin, ale wydaje się niemożliwe, by to ona skreśliła te słowa. Dlaczego? Bo pismo choć eleganckie, ma w sobie jakiś frywolny rys, tak może pisać ktoś młody, dobry, również wesoły, ktoś, kto ma czas na niepotrzebne zawijaski, a ktoś taki nijak nie może być Augustą Beilin. Tak myślą dziewczynki i dlatego pukają do Augusty, narażając się na jej krzyki, próbują przeniknąć wzrokiem gęste płótno na drzwiach, podsłuchują, wreszcie, następnego dnia, któraś wynosi na podwórze krzesło i wspina się po nim do kuchennego okna: Augusta Beilin leży na podłodze, z rozrzuconymi rękami, we wdowiej sukni, w której zjawiła się przed dziesięć laty, i w tych samych trzewikach. Wszędzie jest krew, na podłodze, na okafLOWanym piecu i na ścianie. Twarzy nie widać, niemal połowę ciała przykrywa skrwawiona pierzyna. Potem dziewczynki, jedna po drugiej, wdrapują się na krzesło i przyglądają trupowi: po raz pierwszy patrzą na Augustę Beilin, a ona ich nie ruga.

Policjanci, którzy godzinę później pojawili się w kamienicy, uznali sprawę za tak oczywistą, że jeszcze tego samego dnia, po pobieżnym przepytaniu sąsiadów, sporządzili scenariusz zdarzenia: oto złodziej włamuje się do pułkownikowej i przekonany, że ta długo nie wróci z zakupów, kręci się po mieszkaniu. Augusta Beilin niespodziewanie jednak wraca, jest południe, słońce rozświetla biało-czarne kafle na klatce schodowej, u szczytu schodów pojawia się sąsiad z pierwszego piętra, pozdrawia Augustę, ale ona mu nie odpowiada: idzie prosto do siebie. Włamywacz słyszy klucz w zamku, ucieka do kuchni, wcisną się w szczelinę między piecem a framugą drzwi, w ręce trzyma już pogrzebacz, który znalazł przy węglu – Augusta Beilin pada po pierwszym ciosie, zakupy z kosza rozsypują się po drewnianej podłodze, kosz wpada pod okno. Potem morderca ucieka frontowymi drzwiami, ale wcześniej znajduje na konsolce w przedpokoju kartkę ze zdaniem „Wyjechałam na kilka dni”. Zdanie to napisała Augusta Beilin, morderca wpada na pomysł, by je wykorzystać – przyklepia kartkę do drzwi i ucieka, przekonany, że zyskał kilka godzin albo kilka dni.

Tak brzmiała pierwsza hipoteza na temat przyczyny śmierci Augusty Beilin, a jej następstwem było aresztowanie dozorcy, śledczy wyobrazili sobie bowiem, że tylko ktoś znający rozkład dnia pułkownikowej, włamałby się do niej w porze, w której zwyczajowo

robiła zakupy – kimś takim mógł być sąsiad, najprawdopodobniej niezamożny, dozorca doskonale pasował do tej roli. Potem jednak sprawy gmatwiają się; jeden z policjantów, jakiś Friedlmann, czy Fridelmann, zwraca uwagę na fakt, że ciało nakryto pierzyną, gest ten dowodzi delikatności i przerażenia, a to nie są cechy pospolitego zbrodniarza. Ten sam policjant, w odrębnej notatce, przypomina też, że z mieszkania Augusty Beilin właściwie nic nie zginęło; nie sugeruje rozwiązania, ale intencja obu zapisków jest jasna: człowiek, który czekał na Augustę Beilin w kuchni, nie przyszedł jej okraść, lecz ją zabić. Szkoda, że to nie ów Friedlmann zdobył dowód na potwierdzenie swoich tez: przeznaczenie ofiarowało go innemu policjantowi, nic nieznaczącemu statystycznie, który przeglądając akta, przypadkiem obrócił kartę z drzwi. Na jej rewersie była odręczna notatka mordercy, zapisana ołówkiem, bardzo niestarannym, rozdygotanym pismem, która brzmiała: „Zabiłam z powodów osobistych”.

A więc mordercą była kobieta.

A więc nie ktoś obcy, lecz Augustcie Beilin znany.

A więc Augusta Beilin miała jakieś inne utajone życie.

Można sobie wyobrazić, co się działo, gdy policjanci, zbierając próbki pisma, zmusili wszystkich lokatorów kamienicy do napisania zdania „Zabiłam z powodów osobistych”. Nagle wszyscy ci, którzy naprawdę Augusty Beilin nie znosili, może nawet

życzyli jej śmierci, zostali zmuszeni do tak jawnej i okrutnej deklaracji; prawda, że to zabawne? Oczywiście poza zamieszaniem nic więcej z eksperymentu nie wynikło; śledztwo ślimaczyło się jeszcze trzy miesiące, a potem sprawę zamknięto. Kobiety, która zamordowała pułkownikową, nie odnaleziono. Bo też kogo należało szukać? Nie miała twarzy, wieku, nieznane było jej wykształcenie, pochodzenie społeczne, upodobania, jedyne, co ją określało, to zbrodnia. Zniknęła równie cicho, jak się pojawiła, i gdyby nie śmierć Augusty Beilin, można by pomyśleć, że nigdy nie istniała. Nazwałem ją Bezimienną.

Piotr skończył mówić, a ja siedziałem na krześle, nieporuszony, wpatrzony w noże, które trzymał w dłoniach, noże skierowane teraz we mnie. Rozmawialiśmy w jego kuchni: gdy przyszedłem, Piotr szykował sobie kolację; powiedział, że dopiero co wrócił z Krakowa i umiera z głodu, ale gdy zaczął mówić, zapomniał o jedzeniu, wodzie (to ja wyłączyłem czajnik) i nożach, które przez cały ten czas ścisnął. Słuchałem historii Augusty Beilin wpatrzony w ich zdumiewający taniec: gdy Piotr opowiadał o wizycie w Archiwum Akt Dawnych, o tym, jak czekał na teczkę, noże kołysały się, dwie łódki na spokojnym morzu; gdy mówił o pustej sali archiwum i mięsistych kartach akt (starał się uzmysłwić mi, co to za uczucie dotknąć przeszłości, wziąć w palce kartkę z drzwi Augusty Beilin), noże jak dłonie ślepcy rozrywały ciemność.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).